

MACIEJ KRUPA

Zakopane

Wdzięcznym krokiem. Ameryka na piechotę

Thankful Step. America on Foot

Abstract

The United States of America is not a country that brings walking to mind. Nonetheless, one can become familiar with America on foot. Matte Greene paced along all the streets of New York. Paul Auster compelled the protagonist of his story to compulsively take walks in the city. Henry David Thoreau and John Muir became nineteenth-century founding fathers of walking across America. Each year three long distance trails crossing the USA attract thousands of walkers. They also possess their heroes. Long-distance walking tours produce a state of a specific intensity of motion, a detachment from reality, and a special state of the body and mind. Thoreau wrote that only a few know what real walking is like. The Long Walk described by Stephen King is a game that kills some and saves others from death.

Keywords: America; walking; anthropology

Abstrakt

Stany Zjednoczone nie są krajem, który kojarzy się z chodzeniem. A jednak można poznawać Amerykę na piechotę. Matt Greene przemierzył pieszo wszystkie ulice Nowego Jorku. Paul Auster kazał bohaterowi swojej powieści kompulsywnie chodzić po tym mieście. Henry David Thoreau i John Muir stali się w XIX stuleciu ojcami założycielami chodzenia po Ameryce. Trzy długodystansowe szlaki przecinające USA, przyciągają co roku tysiące wędrowców. Mają też swoich bohaterów. Wędrówka na długich dystansach powoduje stan szczególnej intensywności doznań, wyłączenie z rzeczywistości, specyficzny stan ciała i umysłu. Jak napisał Thoreau „tylko nieliczni wiedzą, czym jest prawdziwe chodzenie”. Wielki Marsz, który opisuje Stephen King, jest grą, która jednych zabija, a innych ocala przed śmiercią.

Słowa kluczowe: Ameryka; chodzenie; antropologia

O autorze

Maciej Krupa – antropolog kultury, publicysta, przewodnik górski. Publikuje w „Kontekstach”, kwartalniku Tatrzańskiego Parku Narodowego „Tatry” i „Nowych Książkach”. Autor *Kronik zakopiańskich* (2015). Współautor książek: *Bóg się rodzi* (2007); *Zakopiańczycy. W poszukiwaniu tożsamości* (2011); *Ślady, szlaki, ścieżki. Pośród tatrzańskich i zakopiańskich wyobrażeń* (2013); *Nieobecne miasto. Przewodnik po nieznanym Zakopanem* (2016); *Szlak Znakomitych Zakopiańczyków* (2017). Kurator kilku wystaw. Mieszka w Zakopanem.

Na potrzeby tego tekstu muszę przypomnieć anegdotę, która już tu kiedyś wybrzmiała. Jesienią 1991 roku byłem w Stanach Zjednoczonych. W trakcie dość męczącego, wypełnionego rozmaitymi spotkaniami dnia, w czasie przerwy na lunch, postanowiłem się przejść. Miałem dość przebywania w zamkniętych pomieszczeniach, dość siedzenia za stołem, dość nieustannego gadania i uważnego słuchania. Postanowiłem się przejść. Było to w miasteczku Piscataway, w hrabstwie Middlesex, w stanie New Jersey. Stare miasto Wschodniego Wybrzeża, które wraz z upływem czasu stało się nowoczesne i zatraciło klasyczne dla Europy cechy. Na moje nieszczęście zatraciło także chodniki, ale wówczas jeszcze tego nie wiedziałem. Moi gospodarze byli zdziwieni – jak to „przejść się”? Gdzie? Po co? Moje wyjaśnienia przyjęły z uprzejmym uśmiechem.

Wyszedłem z budynku, wokół były liczne parkingi oddzielone od dalszych rejonów miasta wianuszkami dróg i autostrad. Obszedłem cały teren, nigdzie nie było żadnych pieszych przejść przez liczne jezdnie, którymi ciągnął nieprzerwany sznur samochodów. Po półgodzinie wróciłem do budynku witany uprzejmymi uśmiechami skrywającymi niewypowiedziane zdanie: „no i po co ci to było?” Tam nikt nie chodził, wszyscy wszędzie jeździli samochodami, tam nie było gdzie chodzić, nie dało się chodzić. Tam chodzenie wyszło ze zwyczaju, wyszło z mody.

Czasem prowadzę w Tatry Amerykanów. Są wśród nich wytrwali górszy piechurzy, którym niestraszna żadna górską perć. Ale przeciętni amerykańscy turyści mają poważne problemy na każdej nierównej, niebrukowanej powierzchni. Dziwnie, ostrożnie i niepewnie stawiają stopy. Odwykli od chodzenia, od poruszania się na piechotę.

Tymczasem w Nowym Jorku niejaki Matt Greene zrealizował, a w pewnym sensie dalej realizuje, niezwykle projekt. Można go nazwać swoistą poznawczą misją realizowaną na piechotę. W Nowym Jorku łączna długość wszystkich ulic wynosi sześć tysięcy mil, po dodaniu mostów, plaż, parków i cmentarzy liczba ta przekracza osiem tysięcy mil, czyli trzynaście tysięcy kilometrów. Czterdziestodwuletni Matt Green zaczął przemierzać je na piechotę w 2012 roku. Poznajemy go dzięki filmowi autorstwa Jeremy'ego Workmana *The World Before Your Feet*¹. Chodził codziennie i starannie dokumentował swoją wędrówkę, prowadząc bloga i rysując przebytą drogę na szczegółowej mapie miasta. Stąd wiemy, że na przykład w 1258. dniu wędrówki chodził po południowym Bronksie i przeszedł 4,9 mili, czyli około 8 kilometrów.

Po drodze rozmawiał ze spotkanymi ludźmi, dowiadywał się szczegółów dotyczących poszczególnych miejsc, robił dużo zdjęć. Jak otwarcie wyznał: „nie mam mieszkania, dlatego stać mnie na ten projekt, nie muszę płacić za czynsz”. Nocował u przyjaciół. Przez pierwsze sześć lat tej wędrówki nocował w około pięćdziesięciu różnych miejscach, odpłacając gospodarzom między innymi pilnowaniem dwudziestu czterech kotów i wyprowadzaniem kilku psów. Dziennie wydawał około piętnastu dolarów, przede

Wdzięcznym krokiem. Ameryka na piechotę

wszystkim na przejazdy komunikacją miejską i jechaniem. Niektórzy krytykują go, mówiąc, że to bezwartościowe, że mógłby robić coś pożytecznego. „Nie robię tego dla pieniędzy – powiada na to Green. – Urzekają mnie ludzie, którzy robią coś tylko po to, żeby to zrobić [...]. Nie wiem, jaki jest sens całej tej wędrówki, stopniowo to odkrywam”. 23 lutego 2015 to był 1151. dzień wędrówki, przeszedł wówczas 15,3 mili (24 kilometry).

Fascynacja poruszaniem się na piechotę zaczęła się u Greena w 2010 roku, kiedy to przeszedł ze wschodu na zachód całe Stany Zjednoczone – od Rockaway Beach NY w Queens do Rockaway Beach w Oregonie. W sumie trzy tysiące sto mil w ciągu pięciu miesięcy. Ujęła go gościnność, jakiej zaznawał po drodze od ludzi.

Na jednej z nowojorskich ulic mała dziewczynka zapytała go: „Dlaczego lubisz chodzić?”. „To trudne pytanie. Nie wiem. To świetny sposób, żeby być w jakimś miejscu, a zarazem się przemieszczać. To doskonała metoda poznawania świata”. Dużo fotografował, poza standardowymi widokami ulic, budynków i innych mijanych obiektów zbierał na przykład zdjęcia szyldów zakładów fryzjerskich, w nazwach których zawarty jest błąd ortograficzny, litera Z, np. *Cutz* zamiast *Cuts*. Okazuje się, że jest ich całkiem sporo. Fotografował rozmaite cmentarze różnych wyznań, a także murale i inne obiekty upamiętniające atak na World Trade Center 11 września – jest ich wiele, ma już około trzystu takich zdjęć.

Dzień 1270. wypadł 22 czerwca 2015 roku, przeszedł wówczas 21,4 mili (34 kilometry). Spotykał innych ludzi, którzy też chodzili ulicami Nowego Jorku, czasem wędrowali razem. Chodził wiosną, latem, jesienią i zimą, przy każdej pogodzie – widzimy go w ciepłej zimowej kurtce i w szortach, widać, że ubierał się tanio i skromnie. Pochodzi z prowincji, wciąż mieszkają tam jego rodzice; akceptują to, co robi. Baczną uwagę zwraca na naturę w mieście – rośliny, kwiaty i drzewa, kolekcjonuje wszystkie napotkane w Nowym Jorku sekwoje. Fotografuje najwyższe drzewo, rosnące w dzielnicy Queens.

Wielokrotnie potwierdza, że zbieranie informacji o odwiedzanych miejscach jest bardziej czasochłonne od samego chodzenia. W momencie kręcenia filmu zaległo-

ści w dokumentacji spacerów wynosiły półtora roku. Tłumaczy: „Celem nie jest ukończenie projektu, lecz robienie wszystkiego, co spotyka nas po drodze”. Przeszedł prawie 13 tysięcy kilometrów, ale nie czuje, że zbliża się do końca. Dla Greena Nowy Jork jest jak palimpsest, starannie odkrywa poszczególne warstwy miasta ukryte jedna pod drugą, zasłonięte, schowane, zamazane. Niespieszne tempo sprzyja takim obserwacjom.

Dostępny w internecie blog Matta Greena *I'm Just Walkin'*² dokumentuje w najstarszej części jego wędrówkę w poprzek Ameryki z 2010 roku, a następnie od 1 stycznia 2012 roku (Day 1) codzienny epicki spacer ulicami Nowego Jorku. Regularne zapiski urywają się 11 września 2015 roku, w 1251. dniu wyprawy, obszernym ilustrowanym tekstem poświęconym stadionowi i legendarnemu klubowi baseballowemu Brooklyn Dodgers. Później pojawia się krótki wpis z 31 lipca 2020 i kolejny – na razie ostatni – z 8 lutego 2022 roku (Day 3693). Czytamy w nim:

Wciąż tu jestem! Przedzieram się przez potężny zbiór zdjęć od roku 2015 do dziś. W tej chwili pracuję nad zdjęciami z 11 września 2015 roku. Z innych kwestii – webmaster/czarodziej Jason Eppink stworzył nową mapę zdjęć pokazującą dokładne miejsce każdego zdjęcia, które tu zamieściłem. Mapa ta będzie regularnie aktualizowana wraz z dodawaniem kolejnych zdjęć na stronie³.

Wędrówka Matta Greena trwa, choć jej fizyczna część już się zakończyła. Ten blog to fascynujący obraz miasta, który mógł stworzyć jedynie ktoś poruszający się na piechotę.

Nie wiem, czy Matt Green czytał *Trylogię nowojorską* Paula Austera. Bohaterem jej pierwszej części, zatytułowanej *Szklane miasto*, jest niejaki Quinn, trzydziestopięcioletni autor kryminałów publikujący pod pseudonimem William Wilson. Lubił czytać, chodzić do kina, na wystawy, interesowała go opera i baseball. Jak czytamy w charakterystyce tej postaci:

Najbardziej jednak lubił spacerować. Niemal codziennie wychodził z mieszkania – w upał i w słotę, w mróz i w skwar – żeby się włóczyć po mieście; donikąd nie zmierzał – po prostu szedł, gdzie nogi go niosły. Nowy Jork stanowił niewyczerpany bezmiar, nieskończony labirynt kroków, i choćby Quinn zaszedł nie wiedzieć jak daleko, choćby poznał na wylot rozmaite dzielnice i ulice, zawsze ogarniało go w końcu uczucie zagubienia. Był zagubiony nie tylko w mieście, ale i w sobie. Ilekroć wyruszał na spacer, czuł się tak, jakby porzucał samego siebie, a gdy już się poddał ulicznemu ruchowi, gdy już się całkiem uprościł, stając się zaledwie bierną parą oczu, wyzwał się wreszcie od przymusu myślenia, to zaś skuteczniej niż cokolwiek innego zapewniało mu minimum spokoju, zbawienne uczucie wewnętrznej pustki. Świat istniał gdzieś na zewnątrz, dookoła, z pro-

du, a tak przy tym szybko się zmieniał, że Quinn niczemu z osobna nie mógł przez dłuższy czas poświęcać uwagi. Istotą wszystkiego był ruch, stawianie stopy przed stopą, beznamiętne podążanie za inercją własnego ciała. Wśród bezcelowej wędrówki wszystkie miejsca stawały się równie ważne i nie miało już znaczenia, gdzie się jest. Podczas najbardziej udanych spacerów Quinn czuł, że jest nigdzie. I w sumie tego tylko pragnął w życiu: być nigdzie. Zbudował wokół siebie własne „nigdzie”, czyli Nowy Jork, i w końcu uświadomił sobie, że nigdy już nie zechce opuścić tego miasta⁴.

Quinn, w przeciwieństwie do Matta Greena, nie ma celu, nie poświęca się poznawaniu miasta, raczej gubi się „nie tylko w mieście, ale i w sobie”. Słowem – chodzi, żeby chodzić. Pewnego wieczora odbiera telefon, który jest ewidentną pomyłką. Tajemniczy rozmówca dzwoni jeszcze kilka razy. W końcu Quinn nie wytrzymuje, podnosi słuchawkę i nagabywany przyznaje, że jest detektywem Paulem Austerem. Spotyka się z ogarniętym szaleństwem Peterem Stillmanem i jako rzekomy detektyw przyjmuje zlecenie od jego żony. Ma śledzić ojca Stillmana, który w przeszłości okrutnie skrzywdził swego syna, a teraz właśnie wychodzi z więzienia. Od tej pory będzie śledził starego Stillmana zafascynowanego książką niejakiego Henry'ego Darka *Nowa wieża Babel*. Stillman całymi dniami włóczył się po nowojorskich ulicach, a Quinn podążał jego śladem. Prowadził szczegółowe notatki, z czasem zaczął też zaznaczać na mapie trasy spacerów (niemalże tak jak Matt Green). Poszczególne dzienne trasy zaznaczone na mapie przypominały litery: W, I, E... Spacerując, Stillman „pisał” po powierzchni Nowego Jorku wielkimi literami: WIEŻA BABEL.

Kiedy wreszcie nieuchronnie spotykają się i zaczynają rozmawiać, Stillman mówi: „Codziennie wstaję skoro świt. Muszę wychodzić bez względu na pogodę, stale być w ruchu, bez przerwy na nogach, co chwila pędzić z miejsca na miejsce. Niech mi pan wierzy, to człowieka po prostu wykańcza”⁵. Jak bieguni z opowieści Olgi Tokarczuk, musi być w nieustannym ruchu. Wymyśla nowy język, domyślamy się, że chce odtworzyć wspólny język gatunku ludzkiego, zanim po zburzeniu wieży Babel Bóg pomieszał języki. Quinn gubi trop Stillmana, ale doprowadza wreszcie do spotkania z prawdziwym Austerem. Quinn stopniowo wydaje się popadać w szaleństwo. „Znalazł się na zupełnym bezdrożu. Nic nie miał, nic nie wiedział – prócz tego, że nic nie wie”⁶. Odtąd już tylko chodził, w obłądnie, jak ktoś opętany dromomanią, jak Albert Dadas, jeden z bohaterów *Cieśnin* Wojciecha Nowickiego: „Szedł, bo coś mu chodzić kazało, szukał nie przyjemności, lecz samego chodzenia, maszerował do całkowitego wyczerpania albo do chwili, kiedy napotykał mur”⁷.

Zszedł Broadwayem do Siedemdziesiątej Drugiej, skręcił na wschód do Central Park West i szedł tą ulicą aż do Pięćdziesiątej Dziewiątej i pomnika Kolumba. Tam



Fot. Maciej Krupa.

znów skręcił na wschód i ruszył wzdłuż Central Park South do Madison Avenue, zrobił w prawo zwrot i poszedł w stronę Grand Central. Przez parę przecznic krążył na chybił trafił, po czym zrobił jakieś półtora kilometra do zbiegu Broadwayu i Piątej Alei przy Dwudziestej Trzeciej, przystanął, żeby popatrzeć na dom-żelazko, zmieniając kierunek wziął kurs na zachód do Siódmej Alei, tam zaś ostro skręcił w lewo i skierował się na południe. Przy Sheridan Square zawrócił na wschód, przespacerował się do Waverly Place, przecinając po drodze Szóstą Aleję, i dalej na Washington Square. Przeszedł pod łukiem i wśród tłumu przechodniów ruszył dalej na południe, przystając, żeby obejrzeć popis akrobata chodzącego po linie, luźno zawieszony między latarnią a drzewem⁸.

I tak dalej, i tak dalej. Chodzi ulicami, przecina place i parki, skręca to w prawo, to w lewo, chaotycznie, bez celu, bez wytchnienia. Kiedy odpoczywa, Quinn prowadzi zapiski w czerwonym notatniku, ale nie mają one już nic wspólnego ze sprawą Stillmana. Opisuje mijany świat: włóczęgów, przechodniów, biedaków, pijaków i ulicznych grajków. Opętany sprawą Stillmanów porzuca dom i zamieszkuje na ulicy, w zaułku, żeby mieć zawsze na oku ich dom. Kończą mu się pieniądze, zostaje bezdomnym.

Ale w ten sposób przestaje chodzić, z rzadka opuszcza swój obserwacyjny posterunek, wybiera bezruch, bezsenność, próbuje stać się niewidoczny dla otoczenia, pozostaje w swoistym ukryciu, godzinami obserwuje niebo i chmury. Mija sporo czasu i Quinn, któremu skończyły się pieniądze, rusza w ostatni spacer. To marsz człowieka wyczerpanego,

doświadczenie skrajne, tak odmienne od zwykłych, beztrojskich spacerów sprzed historii ze Stillmanem.

Nie miał dość pieniędzy na autobus, więc zaczął najdłuższy marsz od wielu tygodni. Dziwnie było wstać, iść w równym tempie z jednego miejsca do drugiego, machać rękami w przód i w tył, czuć chodnik pod podeszwami butów. A jednak szedł – Sześćdziesiątą Dziewiątą na zachód, potem w prawo Madison Avenue i dalej na północ. Nogi się pod nim ugiwały, a głowa była jak bańka powietrza. Co pewien czas musiał przystawać, żeby odetchnąć, a raz chwycił się latarni, bo inaczej by upadł. Stwierdził, że lepiej jest jak najmniej podnosić stopy, powlóczyć nimi, pomału sunąc przed siebie. Oszczędzał dzięki temu energię, której wymagało każde przejście przez jezdnię, wtedy bowiem musiał uważnie łapać równowagę, schodząc z krawężników lub wchodząc na nie⁹.

Idąc ulicą, Quinn spogląda w lustro. Jest zaniedbany, ledwie poznaje własne oblicze, wygląda jak kloszard. Ale nie dba o to.

Był kimś, jest kim innym. Ani lepszym, ani gorszym. Po prostu innym.

Minął jeszcze kilka przecznic, idąc na północ, po czym skręcił w lewo, przeciął Piątą Aleję i ruszył wzdłuż muru, który w tym miejscu otacza Central Park. Przy Dziewięćdziesiątej Szóstej wszedł do parku i zaraz poczuł radość, że ma wokół siebie trawę i drzewa. Pod koniec lata zieleń była już nieco zmęczona, tu i ówdzie prześwity-

waly brązowe splachcie suchej ziemi. Ale drzewa wciąż jeszcze miały bujne korony, a wszechobecna gra światła i cieni wydała się Quinnowi cudownie piękna. Był późny ranek, dobre parę godzin do chwili, gdy wszystko przystoczy żar popołudnia.

W połowie wędrówki przez park poczuł, że koniecznie musi odpocząć. Wokoło nie było ulic ani domów, żadnych punktów orientacyjnych, które pozwalałyby oszacować przebytą część drogi, więc nagle poczuł się, jakby maszerował od wielu godzin, a na drugą stronę parku miał dotrzeć dopiero po kilku dniach mozolnej wędrówki. Szedł jeszcze przez parę minut, lecz w końcu nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Utknął niedaleko sporego dębu i po chwili ruszył w jego stronę, zataczając się jak pijak, który wróciwszy z całonocnej libacji, po omacku szuka łóżka. Położył się na porośniętym trawą pagórku na północ od drzewa, zamiast poduszki wsunął pod głowę czerwony notatnik i zasnął. Po raz pierwszy od kilku miesięcy spał, nie budząc się co chwila. Dopiero nazajutrz rano otworzył oczy¹⁰.

Quinn spotyka się z prawdziwym Paulem Austerem. Okazuje się, że czek Stillmanów, którym zapłacili za zlecenie, był bez pokrycia, a stary Stillman popełnił samobójstwo, skacząc z mostu Brooklińskiego. Zrezygnowany Quinn postanawia wrócić do domu i stwierdza, że mieszkanie zostało wynajęte, a jego rzeczy zniknęły. Idzie do mieszkania Stillmanów, które jest puste. Postanawia tam zostać i popada w coraz większe szaleństwo. Jego jedynym towarzyszem jest czerwony notatnik. Po wielu miesiącach narrator wraz z Austerem idą do mieszkania Stillmanów. Quinn zniknął, na podłodze został tylko zapisany do ostatniej strony czerwony notatnik.

Autor nie pozostawia wielu śladów biegu własnej myśli. Mamy wszechwiedzącego narratora o nieznanym tożsamości, który wszak zna detektywa Paula Austera, który nazywa się tak jak autor książki. Quinn jest tu głównym piechurym podążającym śladem innego piechura – starego Stillmana. Stillman to nie jest niewinne nazwisko, znaczy tyle co „nieruchomy człowiek”. A chodzenie, które jest ulubioną rozrywką Quinna, staje się jego obsesją, jego zgubą. Jak w przypadku wspomnianego Alberta Dadasa i innych opętanych dromomanią, prowadzi Quinna do szaleństwa, wiedzie go w niebyt. Wątek nieustannego chodzenia w *Szklanym mieście* tłumaczą w pewnej mierze niektóre wypowiedzi autora. W rozmowie zatytułowanej *Gdy świat to za mało* Michał Nogaś pyta Paula Austera:

– Każdy z twoich tekstów, jak napisałeś, jest rezultatem chodzenia. Chodzenie przyciąga słowa?

– U mnie tak. Muszę chodzić wkoło. W rytmie chodzenia znajduję coś, co w jakiś sposób odbija rytm pisania i języka. To jakby generuje we mnie pomysły, słowa i zdania. Dlatego, nawet jeżeli nie wychodzę z domu, bo pracuję przy biurku, często wstaję i chodzę po pokoju.

To porządkuje moje myśli. Jeżeli tylko siedzę, po chwili nie jestem już tak produktywny.

– Ktoś mógłby zapytać, ile kroków musisz przejść, by napisać powieść...

– Tak. Albo zapytać, jak kiedyś Mandelsztam, ile par sandałów zużył Dante, pisząc *Boską komedię*. To piękne zdanie¹¹.

A w swoim autobiograficznym *Dzienniku zimowym* Paul Auster pisze:

By robić to, co robisz, musisz chodzić. Chodzenie jest tym, co przyciąga do ciebie słowa, co pozwala ci usłyszeć rytm słów, które zapisujesz w głowie. Jedna stopa naprzód, druga stopa naprzód i podwójne uderzenie serca. Dwoje oczu, dwoje uszu, dwie ręce, dwie nogi, dwie stopy. To, a potem tamto. Tamto, a potem to. Pisanie zaczyna się w ciele, jest muzyką ciała i nawet jeśli słowa coś znaczą, czasem mogą coś znaczyć, muzyka słów jest tam, gdzie zaczyna się ich znaczenie. Siedzisz przy biurku, by zapisywać słowa, lecz w myślach ciągle chodzisz, zawsze chodzisz, a to, co słyszysz, to rytm twojego serca, to jego bicie¹².

Ale przecież Ameryka to nie tylko Nowy Jork i inne wielkie miasta, nie tylko autostrady, Route 66 i filmy drogi. Stany Zjednoczone to także prowincja, miasteczka i farmy, dzikie góry, pustynie i puszcze, ogromne, niemal bezładne przestrzenie. Opuśćmy więc nowojorski „nieskończony labirynt kroków” i cofnijmy się do połowy XIX stulecia. W miasteczku Concord w Massachusetts mieszkał pisarz i filozof Henry David Thoreau, który pod koniec życia w 1861 roku napisał esej zatytułowany po prostu *Walking*, będący swoistą ewangelią zakonu piechurów. Ale o tym gdzie indziej i przy innej okazji.

W tym samym czasie na przeciwległym zachodnim wybrzeżu mieszkał John Muir (1838–1914). Urodzony w Szkocji, przybył do Ameryki wraz z rodzicami w 1849 roku. Zwany bywa Ojcem Parków Narodowych, był wpływowym przyrodnikiem, jednym z inicjatorów ochrony dzikiej przyrody w Stanach Zjednoczonych, współzałożycielem znanej organizacji ochrony przyrody, istniejącego do dziś zrzeszającego ponad dwa miliony członków Sierra Clubu. Inspiracją były dla Muira pisma czołowego przedstawiciela transcendentalistów, jednego z pierwszych nurtów filozoficznych powstałych w Ameryce, Ralpa Waldo Emersona.

Muir był nieustrudzonym piechurym, we wrześniu 1867 roku wyruszył na wędrówkę, która liczyła około tysiąca mil (1600 kilometrów) z Kentucky na Florydę i którą opisał w książce *A Thousand-Mile Walk to the Gulf* (1916). W 1868 roku osiadł w dolinie Yosemite, gdzie mieszkał przez trzy lata. Spotkał się z Emersonem w Kalifornii w 1871 roku. To Emerson łączy Muira z Thoreau, dla którego Ralph Waldo Emerson był mentorem. W 1872 roku powstaje Park Narodowy Yellowstone, pierwszy taki

park w USA i na świecie. Muir doprowadza do powstania Parku Narodowego Yosemite w 1890 roku. Ci dwaj wydają się ojcami założycielami chodzenia po Ameryce.

W 1968 roku Kongres Stanów Zjednoczonych ustanowił Narodowy System Szlaków¹³, na który składa się osiem długodystansowych szlaków widokowych, szesnaście szlaków historycznych i ponad dziewięćset szlaków rekreacyjnych. Oczywiście historia wielu z nich sięga początków XX wieku. Łączna długość szlaków widokowych i historycznych to blisko 45 tysięcy kilometrów. Trzy z nich: Szlak Appalachów, Pacific Crest Trail oraz Continental Divide Trail stanowią tak zwaną Potrójną Koronę¹⁴ (Triple Crown), którą stara się przejść, choćby w jakiejś części, każdy ambitny długodystansowy piechur.

Appalachian National Scenic Trail, czyli Szlak Appalachów, mierzy 2194 mile (3531 km) i przebiega od Springer Mountain w stanie Georgia do Mount Katahdin w stanie Maine, przecinając czternaście stanów. Wytyczony na przełomie lat 20. i 30. XX wieku Pacific Crest Trail mierzy 2653 mile (4270 km) i przecina trzy stany: Kalifornię, Oregon i Waszyngton, od granicy z Meksykiem po granicę z Kanadą. Wreszcie Continental Divide Trail mierzy 3028 mil (4873 km), biegnie z grubsza wzdłuż linii kontynentalnego działu wodnego i przecina pięć stanów. The Triple Crown mierzy w sumie 7875 mil (12 674 km), suma przewyższa to około trzysta tysięcy metrów. Przejście każdego z nich zajmuje przeciętnie około czterech miesięcy.

Jedyną osobą z Polski, która tego dokonała, jest Agnieszka „Zebra” Dziadek. W 2017 roku przeszła w 122 dni Appalachian Trail, rok później w 128 dni Continental Divide Trail, a w 2019 Pacific Crest Trail, co zajęło jej 119 dni. Z tych trzech lat w sumie ponad rok spędziła, trzykrotnie przemierzając Stany Zjednoczone z południa na północ. Jest pierwszą Polką na liście niepełna sześciuset zdobywców Triple Crown.

Najbardziej znaną relacją z próby przejścia Appalachian Trail jest książka amerykańskiego pisarza Billa Brysona *A Walk in the Woods. Rediscovering America on the Appalachian Trail*, wydana w 1997 roku. Posłużyła ona za kanwę scenariusza filmu pod tym samym tytułem z 2015 roku, w którym główne role zagraли Robert Redford i Nick Nolte. Film w Polsce był wyświetlany pod tytułem *Piknik z niedźwiedziami*¹⁵, w związku z czym książka Brysona ukazała się pod tym samym idiotycznym filmowym tytułem. Drugi obraz związany ze szlakiem Triple Crown to *Wild*¹⁶ (polski tytuł *Dzika droga*) z 2014 roku według scenariusza Nicka Hornby’ego. Opowiada historię młodej kobiety w kryzysie po śmierci matki i rozpadzie małżeństwa, która spontanicznie wyrusza na wędrowkę Pacific Crest Trail. Scenariusz oparty jest na autobiograficznej książce dziennikarki Cheryl Strayed, *Dzika droga. Jak odnalazłam siebie*, a główną rolę zagrała Reese Witherspoon. Nie są to dzieła wybitne; spośród nich wyróżnia się książka Brysona, napisana z charakterystycznym dla niego

poczuciem humoru i dystansem do samego siebie, czego zabrakło w filmowej adaptacji.

Powróćmy jednak do polskiej bohaterki amerykańskich szlaków długodystansowych. Agnieszka „Zebra” Dziadek traktuje swoje chodzenie jako zawód. Relacje z wędrowek zamieszcza w mediach społecznościowych: prowadzi bloga¹⁷ i kanał na YouTube, ma swoje konto na Instagramie. Pozwala jej to, wraz z kontem w serwisie Patronite, finansować nietanie przecież wyprawy. Mało w tych relacjach osobistych refleksji nad chodzeniem. Dominują praktykalia, porady, obrazy z drogi. Ale znalazłem jeden tekst, w którym Agnieszka Dziadek nieco się odkrywa i dzięki któremu możemy próbować zajrzeć w duszę długodystansowego wędrowca. We wpisie zatytułowanym *Depresja długodystansowca – skąd się bierze i jak sobie z nią radzić* czytamy:

Wędrowka na długim dystansie to szczególne doświadczenie. Na szlaku jesteście wolni, nasze życie jest bardzo proste i sprowadza się do podstawowych czynności, mających zapewnić przetrwanie. Wszelkie konwencje niezwiązane bezpośrednio z wędrowką idą w niepamięć, a my pograżamy się w alternatywnej rzeczywistości, w jaką przenosimy się na długie miesiące, żyjąc w transie przebijania nogami, w ascezie minimalizmu. Jest to rzecz bardzo intensywna, przeżywana często wraz z innymi hikernami, którzy odbierają ją w podobny sposób – stajemy się w ten sposób częścią społeczności.

Dla wielu z nas ważne jest poczucie kontroli. W rzeczywistości idziemy po prostej linii prowadzeni niemalże na sznurku przez nasze smartfony, przy tym jednak sami decydujemy o wszystkim innym: panujemy nad własnym ciałem, widzimy, do czego jest zdolne – to niesamowite. Idziemy ile chcemy (więcej, więcej, więcej!), jemy ile chcemy i co chcemy, spotykamy ludzi podobnych sobie, którym nie trzeba niczego tłumaczyć.

Ci z nas, dla których wędrowanie to rodzaj medytacji (znacznie częściej będą to osoby wędrujące samotnie), przenoszą się na nieco inny poziom odbierania rzeczywistości, w którym w trakcie wędrowki myśli nie nabierają konkretnych kształtów, a jeśli nabierają, przepływają swobodnie. Czasem skupiamy się na jakichś, lub chłoniemy otoczenie, odbierając wrażenia. Wokół nic się nie dzieje, jest tylko miarowe poruszanie nogami, oddech, radosne „dryfowanie”. Tą właśnie rzeczywistością zwykłym nazywać *hikerspace* (termin ten jest mojego autorstwa)¹⁸.

Pojawiają się tu charakterystyczne kategorie, w których opisywali chodzenie jego wybitni wyznawcy: Henry David Thoreau, Jean-Jacques Rousseau, Fryderyk Nietzsche czy Werner Herzog. Dla nich także piesza wędrowka była szczególnym przeżyciem dającym poczucie wolności, władania nad ciałem, doświadczeniem medytacyjnym, pozwalającym odbierać świat na innym poziomie.

Kolejną bohaterką Szlaku Appalachów była Amerykanka Emma Gatewood. Urodzona w 1887 roku przeżyła trudne dzieciństwo w wielodzietnej toksycznej rodzinie, a następnie przemocowe małżeństwo zakończone rozwodem. Na początku lat 50. dowiedziała się o Szlaku Appalachów – wówczas tylko sześć osób przeszło go w całości. W maju 1955 roku w wieku 67 lat wyruszyła ze szczytu góry Oglethorpe w Georgii w mierzącą ponad trzy tysiące pięćset kilometrów wędrówkę. Miała wówczas 11 dzieci, 23 wnuków i dwoje prawnuków. Powiedziała rodzinie, że idzie się przejść.

Przebrała się z sukienki w szerokie džinsy, flanelową koszulę i tenisówki na gumowej podeszwie. Przez ramię przewiesiła samodzielnie uszyty worek, który fasonem bardziej przypominał wór na ziemniaki niż plecak na wielodniową wędrówkę i na oko był równie poręczny. Spakowała do niego zmianę ubrania, szczyryk, prowiant – parówki, rodzynki, orzechy, kostki rosółowe i mleko w proszku – oraz plastry, jodynę, maść kamforową, zapalki, zasłonę do prysznicy, która miała osłaniać ją od deszczu, latarkę, notes, długopis i 200 dolarów.

Nie wzięła namiotu, śpiwora ani mapy – zdarzało jej się nocować pod gwiazdami, żaden problem, od zimna chroni ognisko, a co do mapy, to w „National Geographic” napisali, że szlak jest oznakowany. Torba ważyła niespełna osiem kilogramów. Dziś pisze się, że była pionierką ultralekkiego hikingu, ale jej ekwipunek był wypadkową metody prób i błędów – sprawdziła, bez czego naprawdę nie może się obejść – i niewielkiej zasobności portfela¹⁹.

Minęło półtora miesiąca wędrówki i historia samotnej starszej pani, która w tenisówkach wędruje grzbietem Appalachów, przedostała się do prasy. Po krótkim czasie o Babci Gatewood, jak ochrzczili ją dziennikarze, pisały wszystkie gazety na trasie jej marszu, potem stała się bohaterką mediów ogólnokrajowych. Mimo trudności i przygód ukończyła szlak na górze Katahdin po 146 dniach wędrówki. Po drodze zdarła sześć par tenisówek i zgubiła czternaście kilogramów. Wróciła do domu jako bohaterka, ale okazało się, że to był dopiero początek.

W 1957 roku przeszła ponownie Szlak Appalachów; była pierwszą osobą, która zrobiła to dwukrotnie. Dwa lata później zmieniła kierunek: zamiast z południa na północ ruszyła ze wschodu na zachód szlakiem oregońskim, tym samym, którym 100 lat wcześniej podróżowali do Kalifornii europejscy osadnicy. Miała 71 lat i po płaskim robiła średnio 35 km dziennie. Ponad 3 tys. km pokonała w trzy miesiące. W rodzinnym Ohio doprowadziła do powstania Buckeye Trail; po osiemdziesiątce pracowała po kilka godzin dziennie, by wycisnąć i oznaczyć trasę.

Na Szlak Appalachów wróciła w 1964 roku. Przeszła go, choć już nie ciągiem: miała 76 lat i musiała robić przerwy. Trasa wyglądała lepiej niż wcześniej, bo dzięki niej Amerykanie zaczęli się interesować szlakiem i władze zadbały o jego utrzymanie²⁰.

Zmarła w wieku 85 lat, po przejściu 23 tysięcy kilometrów. Napis na jej nagrobku głosi: „Emma R. Gatewood – Babcia”.

Jeszcze inną drogę wybrał w 2010 roku wytrwały niemiecki piechur Wolfgang Büscher. Wykreślił na mapie linię dzielącą Stany Zjednoczone pionowo na pół. Od najbardziej wysuniętego na południe punktu granicy USA–Meksyk w Brownsville do North Portal na granicy z Kanadą. Przed amerykańską wędrówką odbył dwie podróże na piechotę – z Berlina do Moskwy i obchodząc Niemcy dookoła wzdłuż granic. Wyruszył z Estevan w Kanadzie i już na przejściu granicznym jako piechur spotkał się z surowym i podejrzliwym przyjęciem. Szedł, ale także jechał autostopem i odwoził cudzy samochód; nie była to ortodoksyjnie piesza wędrówka, wędrował prosto na południe, tak prosto jak to tylko możliwe.

W roku, kiedy zima wydawała się nie mieć końca, wędrowałem w dół Ameryki, ciemny punkcik na białym bezkresie północnych Wielkich Równin, mrówka w śniegu. Tak widziałem się w momentach, kiedy duch wyzwał się i unosił w górę, przez chwilę trzepocząc nade mną, podczas gdy stopy mechanicznie brnęły do przodu. Jedynym zmysłowym wrażeniem upewniającym mnie: „poruszasz się, ty jesteś tym, który idzie przez zimową prerię”, był skrzyp moich kroków na zlodowaciałym śniegu²¹.

Choć to środek Ameryki, to jednocześnie prowincja, Mid West, prawdziwe serce kraju. Nie ma szlaku wytyczonego wśród przyrody. Są drogi, szosy, autostrady, nierówne pobocza, to nie jest dobra droga dla pieszego wędrowca. Jest łącząca północ z południem Route 77, wzdłuż której wędruje Büscher: przez Północną i Południową Dakotę, Nebraskę, Iowa, Kansas, Oklahomę i Teksas. Przez bezkresne równiny i miasteczka zapomniane przez Boga. Spotyka wielu ludzi, dużo więcej niż wędrowcy na szlakach Triple Crown. Ciekawi go ten obcy świat i zachwyca napotkany szczegół.

Następnego dnia, wyszedłszy wczesnym rankiem, wędrowałem przez cały dzień aż do zapadnięcia nocy i przebyłem tak wiele mil jak nigdy dotąd. Na drodze leżały tysiące motyli. Ponieważ były leciutkie, przejeżdżające samochody nie rozjeżdżały ich na miazgę, jak większe zwierzęta, i tak leżały całe, jak utkany z motyli całun²².

I na koniec prawdziwie epicka amerykańska wędrówka, wykraczająca daleko poza granice Stanów Zjednoczonych. Arkadiusz Winiatorski od listopada 2017 do sierpnia 2019, w ciągu dwudziestu jeden miesięcy, przeszedł pieszo z Panama City przez Panamę, Kostarykę, Nikaragwę, Honduras, Salwador i Gwatemalę do Meksyku i dalej zachodnim wybrzeżem Stanów Zjednoczonych doszedł do Vancouver w Kanadzie, pokonując

dystans 11 704 kilometrów. W Meksyku dołączyła do niego Ola Synowiec i większą część drogi przebyli razem. Swoją przygodę opisali w książce *Na poboczu Ameryk*²³.

To zupełnie inna podróż, wędrówka przez cywilizację, w trakcie której piechurzy pchają dziecięcy wózek ze swoim wędrownym dobytkiem. Idą zachodnim wybrzeżem Ameryki, znaczna część ich drogi prowadzi przez Kalifornię, jeden z najbardziej zurbanizowanych rejonów świata. Mniej tu obrazów przyrody, więcej interakcji międzyludzkich. Cywilizacja dominuje nad naturą. W Gwatemali Winiatorski notuje:

Pobocze drogi jest lustrem, w którym odbijają się przemierzane przeze mnie kraje. Czytam je z wyrzucanych śmieci. Śmieci na poboczu to lepszy miernik nastrojów i gustów społeczeństwa niż sondaże i statystyki sprzedaży. Puste opakowania wskazują mi, co miejscowi jedzą, co piją, czym żyją. Ulubione piwo, ulubione chipsy i napoje gazowane Gwatemalczyków poznaję, zanim jeszcze na dobre zdołam się rozejrzeć po lokalnym spożywcaku. [...] Z pobocza czytam regionalny repertuar upraw. Walające się tam pomidory, papryki i kolby kukurydzy, które pospadały z przejeżdżających ciężarówek, mówią same za siebie, czym stoi lokalne rolnictwo. Ku uciesze podniebienia przez Gwatemalę przechodzę w sezonie na mango – przydrożne dzikie drzewa aż uginają się od jędrnych owoców. Ziemia pod nimi przypomina podgniwaną kobierzec; owoce są teraz tak tanie, że nikt ich nie zbiera. [...] Odpadki wyznaczają odległość lepiej niż drogowskazy, które zwodzą i zaginają przestrzeń. Przystaję sięgać po telefon z mapą, aby sprawdzić, ile kilometrów pozostało mi do następnej miejscowości. Nauczyłem się czytać tropy. Opakowania po sieciowych fast foodach pojawiają się pięć, dziesięć kilometrów przed miastami. Odpady medyczne i kartoteki chorych nieco wcześniej, jakieś piętnaście, dwadzieścia kilometrów. Informują, że w najbliższej miejscowości znajdę szpital. Bele waty szklanej, nowe kłapki czy stoliki ogrodowe, czyli bardziej wartościowe przedmioty, które zgubiły transportujące je pick-upy, jasno oznajmniają, że do miasta jeszcze daleko, bo nikomu nie chciało się tutaj przyjechać motorem, żeby przechwycić łupy. Puszki przeciwnie – w promieniu kilkunastu kilometrów od zabudowań wszystkie są elegancko wyzbierane. Czuję się jak antropolog pobocza. Archeolog śmieci. W końcu archeologia, w dużej części, zajmuje się odpadkami dawnych czasów. [...] Ja robię to samo, tyle że nie czekam wieki. Obraz współczesnego świata tworzę z odpadków na bieżąco²⁴.

Podczas tej wędrówki pojawia się też więcej niezrozumienia. Na szlakach Triple Crown wędrowcy spotykają podobnych sobie, a miejscowi przywykli do piechurów, bo mają z nimi do czynienia niemal na co dzień. Drogi Ameryki Środkowej i szosy Kalifornii to zupełnie inny świat. Już u kresu marszu, na granicy USA z Kanadą:

Urzędniczka nie rozumie, dlaczego idziemy pieszo. Bierze nas za włóczęgów, bezdomnych albo wariatów, a najpewniej za wszystkich naraz. Tłumaczę jej, spowiadałam się z całego mojego CV, ale ona swoje.

– Dlaczego ktoś taki jak ty miałby pisać książki? – pyta z nieukrywaną pogardą²⁵.

Jednak stan umysłu wędrowców jest zdumiewająco podobny. Uzależniają się od chodzenia, trudno im pogodzić się z faktem, że nadchodzi kres wędrówki. Chodzenie jest dla nich wyjściem z codzienności, świętem, czasem naznaczonym. Wiedzą, że będą musieli wrócić „do świata” i obawiają się tego. I to niezależnie od tego, czy wędrują ganią Appalachów, bezdrożami Oregonu czy poboczem kalifornijskiej szosy.

Cieszymy się, że niedługo staniemy na mecie naszej wędrówki, choć jednocześnie tak bardzo nie chcemy jej końca. Uzależniliśmy się od bycia w drodze (nieprzypadkowo słowo *droga* to po hiszpańsku „narkotyk”). Paradoksalnie życie w podróży jest łatwiejsze od skomplikowanej codzienności. Odarte z rutynowych problemów i decyzji, ogranicza się wyłącznie do najprostszych czynności: znalezienia bezpiecznego miejsca na nocleg, czegoś do jedzenia i picia. Może podświadomie obawiamy się, jak będzie wyglądał powrót do tak zwanej normalności. Jak potoczmy się w dalszym życiu my, nasz związek. Jedyną sytuacją, jaką zna nasza para, jest droga. Prześwieciła nas na wyłot, do ostatniego tchu i ostatniej kropelki potu. Tylko co dalej? Czy polubimy siebie codziennych? Czy po takiej podróży w tej codzienności w ogóle się odnajdziemy?²⁶

Sto sześćdziesiąt lat wcześniej patron wszystkich amerykańskich wędrowców, przełożony zakonu piechurów, Henry David Thoreau napisał:

Tylko nieliczni wiedzą, czym jest prawdziwe chodzenie [...]. Chodzę ścieżkami starych proroków i poetów jak choćby Mojżesz, Homer, Chaucer. Możecie nazwać to Ameryką, ale dla mnie to żadna Ameryka. Ani Kolumb, ani Amerigo Vespucci, ani ktokolwiek z tej paczki nie odkrył tej ziemi. Więcej o niej dowiedzie się z mitologii niż z tak zwanej historii Stanów²⁷.

Jak będzie wyglądało chodzenie w Ameryce w przyszłości? Jak się zmieni? Czy powstaną związane z chodzeniem nowe zjawiska i wydarzenia? Stephena Kinga można bez wątplenia nazwać pisarzem arcyamerykańskim, doskonale od lat czytającym tamtejsze lęki, obsesje, marzenia i sny. W jednej ze swoich książek, będącej po części autobiografią, a częściowo poradnikiem dla aspirujących literatów, napisał:

Kiedy przebywamy w letnim domu w zachodnim Maine, [...] co dzień spaceruję około sześciu kilometrów, chyba że leje jak z cebra. Trzy czwarte tej trasy

przypada na bite trakty w lesie, ostatnie półtora kilometra na pobocze Drogi Numer 5, dwupasmowej jezdni łączącej Bethel i Fryeburg²⁸.

Kolejny pisarz, który żeby pisać, musi chodzić. Może to właśnie w czasie tych spacerów wpadł na pomysł dystopii, którą opublikował pod pseudonimem Richard Bachman i zatytułował *Wielki Marsz*.

W nieokreślonej przyszłości w Stanach Zjednoczonych co roku odbywa się Wielki Marsz. Bierze w nim udział stu chłopców i młodych mężczyzn powyżej dwunastego roku życia, wylosowanych spośród licznego grona ochotników, którzy poddawani są następnie testom pisemnym i sprawnościowym. Losowanie to wielki telewizyjny spektakl. Organizatorem marszu jest demoniczny major. Wygląda na to, że w USA nastąpiło wydarzenie zwane Zmianą i rządzi tam jakiś rodzaj wojskowej dyktatury. Społeczeństwo kontrolują nieokreślone bliżej „Patrole”. Kiedy ktoś chce się uwolnić od kontroli reżimu lub choćby głosi wrogie władzy poglądy polityczne, zostaje „spatrolowany”, czyli znika. Po wylosowaniu zawodnik może zrezygnować z udziału w Wielkim Marszu, ale tylko do dnia poprzedzającego start. Po starcie już nie można się wycofać.

Obowiązuje jedna reguła: muszą iść nieprzerwanie wyznaczoną trasą od granicy amerykańsko-kanadyjskiej przez stany Maine i New Hampshire do Massachusetts. Regule tej towarzyszą szczegółowe zasady. Zawodnicy muszą poruszać się z minimalną prędkością sześciu kilometrów na godzinę. Setce zawodników towarzyszą transporterzy wojskowe z radarami mierzącymi prędkość i żołnierzami uzbrojonymi w karabiny. Wolniejszy marsz skutkuje upomnieniem. Po trzech upomnieniach zawodnik dostaje czerwoną kartkę, podjeżdżają do niego żołnierze i zabijają na miejscu. Ale idąc we właściwym tempie przez godzinę, może skasować upomnienie. Wygrywa ten, kto dojdzie najdalej, pozostali zostaną zastrzeleni, chyba że umrą z wyczerpania w trakcie marszu. Raz na dobę dostają szerokie pasy z kieszeniami na wysokokaloryczne koncentraty spożywcze oraz manierki na wodę. Proste, klarowne zasady. Kto się zatrzyma lub zwolni tempo marszu – zostanie zastrzelony. Ten, kto wygra, otrzyma nagrodę. Nie wiadomo dokładnie, jak ona wygląda; wiadomo, że zwycięzca może mieć wszystko i będzie pozbawiony materialnych trosk przez resztę życia.

Wielki Marsz relacjonuje na żywo telewizja, we wszystkich miejscowościach na jego trasie pobocza okupują tłumy gapiów, dziennikarze proszą zawodników o wypowiedź, uczestników witają transparenty, a bukmacherzy przyjmują zakłady – ich suma wynosi rocznie dwa miliardy dolarów. Co roku jest to najważniejsze i najbardziej oczekiwane wydarzenie w całym kraju.

Stopniowo poznajemy część uczestników, którzy rozmawiają, wchodzą w interakcje, ujawniają swoje poglądy i charaktery, toczy się między nimi swoista psychologiczna gra. Wiedzą jedno: każdy jest konkurentem do zwycięstwa, do przeżycia, nie opłaca się nikomu po-

magać, wspierać w chwili kryzysu. Jeden z uczestników – szesnastoletni Raymond Garraty – po pierwszym dniu marszu przeprowadza swoisty remanent swojego ciała i umysłu.

Jedna głowa, trochę oszołomiona, świrująca, ale zasadniczo w porządku. Dwoje oczu, piekących. Jeden kark, kompletnie sztywny. Dwoje ramion, tu żadnych kłopotów. Jeden tors, w porządku, poza ssaniem w kiszkiach, którego koncentraty nie mogły zaspokoić. Dwie cholernie zmęczone nogi. Bołące mięśnie. Zastanawiał się, jak daleko nogi zanoszą go same – jak długo potrwa, zanim mózg będzie musiał przejąć władzę, by zmusić je do pracy ponad wszelkie wyobrażalne siły, broniąc kołyski czaszki przed kulą. Jak długo potrwa, zanim nogi zaczną się uginać, płątać, a wreszcie zablokują się i staną. Nogi były zmęczone, ale jak do tej pory wydawały się nadal w znakomitym porządku.

I dwie stopy. Bołące. Rozpulchnione, wszelkie zaprzeczenia nie miały sensu. Był dużym chłopakiem. Te stopy niosły osiemdziesiąt kilogramów. Podeszwy piekły. Od czasu do czasu przeszywał je dziwny ból. Lewy wielki palec przetałał skarpetkę [...] i ocierał się niewygodnie o but. Ale stopy pracowały, nie miały pęcherzy i czuł, że one również są nadal w znakomitym porządku.

Garraty, jesteś w dobrej formie, wmawiał sobie. Dwunastu gości nie żyje, dwa razy tyle pewnie ledwie zipie, ale ty jesteś mocny. Dobrze ci idzie. *Żyjesz*²⁹.

Wielki Marsz nie ma wątków pobocznych, to linearnie prowadzona historia marszu stu chłopaków, którzy po prostu idą. To opublikowany w 1979 roku opis przerażającego telewizyjnego *reality show*. *Big Brother* został zrealizowany w Holandii dopiero w 1997 roku. Od tego czasu rozmaite jego warianty zapełniają ramówki stacji telewizyjnych na całym świecie. Chuck Barris, twórca wielu teleturniejów telewizyjnych, między innymi *Randki w ciemno* i popularnego w USA *The Gong Show*, powiedział kiedyś: „W ekstremalnym teleturnieju uczestnik przegrywający będzie zabijany”³⁰. Może ta wypowiedź była inspiracją dla Kinga. Po latach okazało się, że praca w telewizji mogła być tylko przykrywką; Barris twierdził, że prowadził podwójne życie i był płatnym zabójcą na żołdzie CIA³¹.

Pomiędzy przekomarzaniem się, kłótniami, zwierzeniami i żartami uczestnicy Wielkiego Marszu poddają analizie sam marsz i dzielą się swoimi przemyśleniami z konkurentami na trasie. Oto refleksje jednego z uczestników, niejakiego Stebbinsa.

To zadziwiające, jak umysł panuje nad ciałem. To zadziwiające, jak potrafi przejąć komendę i wydawać ciało rozkazy. Przeciętą gospodyni domowa może przejść do dwudziestu pięciu kilometrów dziennie, między lodówką, deską do prasowania i sznurem na pranie. Pod koniec dnia jest gotowa wyłożyć nogi na stół, ale nie

jest wyczerpana. Domokrązca może wyciągnąć trzydzieści dwa kilometry. A chłopak z liceum ćwiczący futbol przechodzi czterdzieści do czterdziestu pięciu... W jeden dzień, od wstania z łóżka do położenia się do łóżka wieczorem. Wszyscy są zmęczeni, ale żadne z nich nie jest wyczerpane [...]. Ale załóżmy, że powiemy takiej gospodyni domowej: jutro musisz przejść do obiadu dwadzieścia pięć kilometrów [...].

– Nie będzie zmęczona, będzie wyczerpana – powiedział³².

Charakterystycznym objawem transowego marszu jest oderwanie się od rzeczywistości.

Chłopak w trenczu go nie słyszał. Taka była zwykła kolej rzeczy. Następowало całkowite zerwanie kontaktu ze światem. Ze wszystkim z wyjątkiem drogi. Wpatrywali się w drogę z jakąś obłąkańczą fascynacją, jakby była liną nad nieskończoną bezdenną przepaścią, którą musieli przebyć³³.

Mijali kolejne miasteczko; chodniki były pełne ludzi, ale ledwo to dostrzegał. Oni należeli już do innego świata, mogli się znajdować za grubą tarczą ze szkła³⁴.

Zarazem marsz potęguje i stymuluje myślenie, wielokrotnie potwierdzali to filozofowie i pisarze. Dotyczy to również uczestników Wielkiego Marszu.

Sprawa zasadnicza to myślenie, rozważał Garraty. Myślenie. Myślenie i samotność, bo nieważne z kim spędzasz czas, na końcu jesteś sam. Miał wrażenie, że nagromadził w głowie tyle kilometrów myśli, ile miał w nogach kilometrów drogi. Myśli wciąż przychodziły, nie sposób ich powstrzymać³⁵.

Po stu dwudziestu kilometrach marszu były już dwadzieścia cztery trupy.

Jak w życiu: jedni są bezwzględni, a w innych budzą się niebezpiecznie uczucia i czasem pomagają swoim konkurentom w chwilach kryzysu, być może z przerażenia, że mogliby być świadkami ich rozstrzelania, śmierci. Piątego dnia rano pozostało ich tylko dziewięciu, po kilku godzinach do Massachusetts weszło siedmiu. Na koniec, kilkadziesiąt kilometrów przed Bostonem, zostało ich dwóch – Garraty i Stebbins. Ten drugi upadł na ziemię i umarł ze zmęczenia. Garraty wygrał, zobaczył w malignie czarną postać, która zjawiała mu się już wcześniej, która go przyzywała. „Na ślepo, z wyciągniętymi przed siebie dłońmi, jakby prosił o jałmużnę, Garraty szedł ku ciemnej postaci. A kiedy znów poczuł czyjąś dłoń na ramieniu, znalazł w sobie dosyć sił i pobiegł”³⁶. Tak kończy się ta opowieść.

Ale amerykański Wielki Marsz wciąż trwa, choć nie jest tak okrutny jak ten opisany przez Stephena Kinga. Niektórzy wędrowcy zrywają kontakt ze światem, należą już do innej rzeczywistości. Jak bieguni z opowieści Olgi

Tokarczuk, którzy nieustannie chodząc, wymykali się Żłu. Ale nawet w czarnej, dystopijnej przyszłości chodzenie ocala przed śmiercią, chodzenie wyzwala ku nowemu życiu.

Przypisy

- ¹ *The World Before Your Feet (Nowy Jork na piechotę)*, reż. Jeremy Workman, USA, 2018, 96 min.
- ² <https://imjustwalkin.com>, dostęp 28.03.2023.
- ³ <https://imjustwalkin.com/2022/02/08/catchin-up-3>, dostęp 28.03.2023.
- ⁴ Paul Auster, *Trylogia nowojorska*, przeł. Michał Kłobukowski, Noir sur Blanc, Szwajcaria 1996, s. 9–10.
- ⁵ Tamże, s. 73.
- ⁶ Tamże, s. 98.
- ⁷ Wojciech Nowicki, *Cieśniny*, Czarne, Wołowiec 2019, s. 61.
- ⁸ P. Auster, *Trylogia...*, dz. cyt., s. 100.
- ⁹ Tamże, s. 111.
- ¹⁰ Tamże, s. 112.
- ¹¹ *Gdy świat to za mało. Z Paulem Austerem rozmawia Michał Nogaś*, „Gazeta Wyborcza”, nr 92, 19–21 kwietnia 2014, s. 26–27.
- ¹² Paul Auster, *Dziennik zimowy*, przeł. Maria Makuch, Znak, Kraków, 2014, s. 200.
- ¹³ www.nps.gov/subjects/nationaltrailssystem/index.htm, dostęp 23.04.2023.
- ¹⁴ www.aldhawest.org/triple-crown, dostęp 23.04.2023.
- ¹⁵ *A Walk in the Woods (Piknik z niedźwiedziami)*, reż. Ken Kwapis, USA, 2015, 1'44".
- ¹⁶ *Wild (Dzika droga)*, reż. Jean-Marc Vallée, USA, 2014, 1'55".
- ¹⁷ <http://acrossthewilderness.blogspot.com>, dostęp 23.04.2023.
- ¹⁸ <https://acrossthewilderness.blogspot.com/2020/01/depre-sja-dugodystansowca-post-thru-hike>, dostęp 23.04.2023.
- ¹⁹ Katarzyna Wężyk, *Im jestem starsza, tym jestem szybsza. Jak 67-latka przeszła najdłuższy szlak świata*, „Wysokie Obcasy”, w www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/7,53662,28792091,babcia-podrozniczka.html, dostęp 23.04.2023.
- ²⁰ Tamże.
- ²¹ Wolfgang Büscher, *Hartland. Pieszko przez Amerykę*, przeł. Katarzyna Weintraub, Czarne, Wołowiec 2013, s. 11.
- ²² Tamże, s. 245.
- ²³ Olga Synowiec, Arkadiusz Winiatorski, *Na poboczu Ameryk. Pieszko z Panamy do Kanady*, Czarne, Wołowiec 2022.
- ²⁴ Tamże, s. 132–133
- ²⁵ Tamże, s. 433.
- ²⁶ Tamże, s. 432.
- ²⁷ Henry David Thoreau, *Sztuka chodzenia*, przeł. Piotr Madej, Miniatura, Kraków 2009, s. 20–21.
- ²⁸ Stephen King, *Jak pisać. Pamiętnik rzemieślnika*, przeł. Paulina Braiter, Prószyński i S-ka, Warszawa 2001, s. 201.
- ²⁹ Tegoż, *Wielki Marsz*, przeł. Paweł Korombel, Prószyński i S-ka, Warszawa 2011, s. 73–74.
- ³⁰ Tamże, s. 59.
- ³¹ https://en.wikipedia.org/wiki/Chuck_Barris, dostęp 23.04.2023.
- ³² S. King, *Wielki Marsz...*, dz. cyt., s. 167.
- ³³ Tamże, s. 87–88.
- ³⁴ Tamże, s. 106.
- ³⁵ Tamże, s. 96.
- ³⁶ Tamże, s. 264.